

WIELKI GŁOS LITERACKI

DWUTYGODNIK

№ 11 (35)

Warszawa 1 — 15 Czerwca 1929

Rok II.

MAURYCY SCHIMEL

DWA TRÓJKĄTY

(scenariusz).

Jej oczy paliła gorączka — czerwonym, łzawiącym dymem —
W ochrypach kaszlu drgał krwotok i targał nią i podrzucał:
Na skrzynce dzwoniły flaszeczki z syropem i kodeliną —
Śmierć się zawzięcie wgrzyzała w jej ropiejące płuca.

Na białym jachcie pan i czarna wiotka pani;
Wiśniami warg spojeni, pod wonnym wiewem chłodu,
Płynęli cicho i lekko do złotej nadbrzeżnej przystani,

Gdzie noc zapładnia księżycem sennie, ustronne ogrody.
...A lekarz nic jej nie pomógł (choć oczy miał liściowe)
Na kartce nerwowo ustawił słów kilkanaście szeregiem

Na małych obnach zabijał mróz w stalaktydach...iskliwych
Na smutnej recepcie nie chciał zbawieniem zakwitnąć Egipt.
Z brzegów pachnących winem wytryskały niebieskie wille

W jasne południe nalane miodem wczesnego lata,
Pijani słodką przygodą zdyszani, rozmiani przybyli,
By wypić grzech swój tajemny na adamaszkach i kwiatach.

...A on w gryzącej sztolni rozbijał czarne djamenty
A nad nim dudnił dzień turkotem ciężkich godzin
I tylko w zwilgłe światy, w ciche niedziele i święta,

Mógł jej gasnącą twarz uśmiechem swym rozpo-
godzić.
W wytwornym gabinecie od dymów hawańskich mglistym

Ten drugi „on“ miał w rękach nici światowych trustów,
Przy kawie czytał krótkie pochłane liljowe listy
W barze płacił rachunki, nie biorąc nigdy reszty.

...W małym sklepiku jest napis: „Kredytu się nie udziela“...
kwatka zimnego mleka kosztuje dwadzieścia groszy
O, jak to dobrze mieć w domu szczerego przyjaciela,

Który co wieczór pod płaszczem bochenek chleba przynosi.
O świecie wracał jacht i czarna, wiotka pani,
(W turebce drzemał portret znakomitego tenora).
W małym pokoju spał trup na krwawym, zmiętym pościu —

Na ziemi leżała kartka litościwego doktora.

ANTONI MADEJ

MARE TENEBRARUM

Głębokim ciemnym nurtem mrok płynie nad światem,
wionie pustką kosmiczną i chłodzi nam twarz
Chwytają fale zwiernych, nieustannych wrażeń
nasze zmysły — najczulsze radio-aparaty.

Potop czuć nas zalewa, mgławica uniesień.
Napływ wizyj naporem kruszy więz uwagi.
Na szczycie jeno woli łopocą gdzieś flagi
jednej myśli, co gwałtem uświadomić chce się,

I oto z tej bezkształtnej ośmy „nieznanego“
wytryska cień widomy — zjawisko imienne.
Już okręt myśli pędzi po tem morzu ciemnym
wprost na światło latarni z portu dalekiego.

Numer niniejszy został opóźniony w wydaniu, na skutek zmiany w ostatniej chwili drukarni.

EMIL SCHÜRER — O NOWE WYCHOWANIE

We Włoszech zostały zakazane filmy wojenne:

„W tych filmach są czasem posępne sceny śmierci, które wywierają na publiczności przygnębiające wrażenie i tłumią jej patryjotyczny nastrój... W innych zaś miejscach są sceny humorystyczne, nie znoszące się z duchem militarnej dyscypliny“.

Benito Mussolini.

W jednym z ostatnich numerów „Wiadomości literackich“ zostały całe dwie kolumny poświęcone polemice, powstałej wprawdzie na marginesie „Złotego paszportu“, lecz zakończonej (?) na płaszczyźnie o wiele szerszej zagadnień ogólnych. W tem ostatnim stadium dyskusji chodzi już wprost o nowe postępowe metody walki, o zmianę przestarzałych form dokonywania rewolucyj. I Slonimski — inicjator tej dyskusji — który nieustannie wzywa do walki na myśli: słowa, nie będzie mógł teraz wzgardzić dalszym ciągiem tej dyskusji: — bo czy w końcu nie jest dyskusja jedyną możliwą areną dla ścierających się myśli i słów?

Ja ze swej strony pragnę z całym nakładem dobrej woli uczynić wszystko, aby nie spotkał mnie zarzut, że tylko grubiańsko „doktrynami wałę“, że nie dorosłem do walki na tak subtelna broń jak myśli i słowa. Pod wpływem artykułów Slonimskiego na krótką chwilę zwątpilem o sobie, czy też naprawdę nie symplikujemy wielkich i zawilich zagadnień: czy ogromna część ludzkości, cały szereg światnych pozatem i znakomitych umysłów nie popadło w tajemniczą marksistyczną chorobę?... Całą siłą przekłętą wyobraźni i napiętej intuicji starałem się wżyć w sposób myślenia Slonimskiego, aby jego drogą dojść do możliwości zrealizowania wspólnej socjalistycznej idei. Ale nie ludźmy się. Pozytywny wynik dyskusji, nacechowanej dobrą nawet wolą wzajemnego zrozumienia się, nie zawsze musi prowadzić do porozumienia. Wierzę jednak w uczciwość przeciwników i tę miarę uważam za dobrą cnotę — jedynie od nich zależy, by się wiara nie okazała zwyciężoną naiwnością. Ale mi wtedy wypadnie raczej żałować, niż wstydzić się. Dlatego za dobry wynik dyskusji może też czasem wystarczyć samo gruntowne obciążenie przeciwności, wypowiedzenie się do końca.

Tu chcę nawiązać znowu do kwestji wychowania, bo w tej dziedzinie odgrywa słowo jako instrument walki z panującym ustrojem największą rolę i w tej właśnie dziedzinie Slonimski cofa się gwałtownie! Bo podczas gdy pierwiej (w „Treningu“) żądał jeszcze zakładania szkół — a więc na szeroką miarę zakrojonej, systematycznej pracy wychowawczej w duchu odrodzonej przyszłości — to teraz, zdając już sobie sprawę z utopijności takich żądań, ścieśnia zakres realnych możliwości wychowawczych i powiada: „Wychowywać mogą również książki, pisma, atmosfera“. Lecz wpływ wychowawczy książek, pism, teatrów i filmów jest za bardzo dorywczy i przypadkowy. Wobec potrzeby odpowiedniego wychowania milionów młodzieży czegoż spodziewa się Slonimski po tych nielicznych, prawdziwie wychowawczych książkach, które albo się konfiguruje, albo dostają się do właściwych rąk rzadko, przypadkiem i czytane być muszą w tajemnicy przed nauczycielem?... Czego spodziewa się Slonimski po pismach, które nie istnieją, po filmach, których nie tworzy się lub zakazuje?... Czy Slonimski naprawdę wierzy, że w tej „atmosfera“ narodzi się nowe wychowanie?... Czy w głębi serca, nie przynajmniej mi słuszności, że tylko po systematycznym, legalnie i szeroko zorganizowanym nowym wychowaniu spodziewać się można istotnego odrodzenia zbiorowej duszy społeczeństwa — i że nastąpić to może jedynie po radykalnych przemianach społecznych?... Jakim cudem mają te prześladowane i rzadkie objawy uczciwej myśli stworzyć

skuteczną przeciwwagę demoralizatorskim wpływom dzisiejszego życia, szkoły, prasy, beletrystyki i t. d.?... Przecież sam powiada o sobie Slonimski: „Jeśli dotąd chodzę wolny, zawdzięczam to w większym stopniu zręczności, niż kompromisowemu przekonaniu“. — A więc aby móc się u Pana wychowywać, trzeba jeszcze umieć w dodatku odszyfrować pańskie „zręczności“? Nie zbierze Pan wielu uczniów. — Jakże długo będzie Pan mógł tak długo balansować, zanim Panu na poetyckie usta włożą faszystowski kaganiec? Duch II Duce z motta ciąży jak upiór nad temi słowami.

Na szczęście jednak uczciwa wolnościowa myśl nie da się nigdy szalenie zamknąć. Wielu z nas jest na to dowodem, że nieliczne książki i pisma przeciw wywierają swój wpływ i choć wyrosli w tradycjach burżuazyjnej kultury doszliśmy przeciw do zaprzeczenia jej klasowego charakteru — jesteśmy jednak tylko wyjątkami, nie jej, lecz sobie zawdzięczamy to, bo z żadnej kultury nie da się do reszty wypieścić ludzki, postępowy pierwiastek, który — pokrewni mi duchem reprezentuję. Ten nazbyt okroczony sposób dochodzenia do najprostszych ogólnoludzkich wartości nie może jednak być regułą. Bo choćby się nawet doszło do wniosków przeczących dzisiejszemu światu, to można w nim przecież nadal „pozytywnie“ żyć... Tak n. p. znam osobiście pewnego pana, właściciela dóbr, o nieprzeciętnej inteligencji i znacznym wykształceniu, którego zapytałem niedawno:

— Jak zapatruje się Pan na projekt parcelacji wielkiej własności ziemskiej bez „odszkodowania“?

— Życzę moim chłopom, aby zrozumieli, że ja i mój rząd nigdy im tego sami nie damy. Niech przyjdą i podziela — wtedy nie będę im stawiał oporu.

— Jakaż byłaby różnica pomiędzy panem, jako przekonany socjalistą, a byle którym innym obszarnikiem o świadomie reakcyjnym usposobieniu?

— W tem właśnie byłaby różnica, że nie stawiałbym oporu. Podczas gdy mój sąsiad spiskowałby przeciwko nowej rzeczywistości i organizowałby sejm lub armję, aby zrestytuować swoją „narodową solidarność“, ja czekam aby się stało. Jestem jednym z owych nielicznych przedstawicieli burżuazji, w których socjalizm zdołał wszepić przynajmniej rozumną rezygnację...

Ten pan jest niewątpliwie całkiem egzotycznym owocem wychowania, zna również Marxa i Wellsa, ale ma o wiele mniej złudzeń od Slonimskiego. Ów pan przynajmniej wie, że słowo może czasem przekonać, ale nigdy nie pokona klasowego egoizmu, nigdy nie skłoni do zrezygnowania z wyzysku i oporu. Egoizm klasowy może zostać pokonany tylko przez drugi klasowy egoizm. Ale gdy w jednym wypadku mamy do czynienia z egoizmem klasy bezpłodnej, ciśnie, tylko na wyzysk wychowanej, to w drugim wypadku chodzi o egoizm klasy, która staje się pracowitą, społeczną eksponentem ogólnoludzkich tęsknot. Niech burżuazja przestanie stawiać opór, niech nie knuje przeciwko ludzkiej przyszłości, a okaże się rewolucja robotnicza najbardziej humanitarna.

Powłada jeszcze Slonimski: „Metody walki zmieniają się wraz z postępem cywilizacji... mazurek zastąpił karabin maszynowy“ i woła wobec tego, „o zmianę metod rewolucyjnych“. — Pomyłka — drogi Panie Slonimski! — tragiczna pomyłka. To tylko instrumenty walki zmieniają się z postępem cywilizacji, stają się rzeczywiście bardziej celowe, jeśli chodzi o coraz doskonalsze możliwości masowego mordu, — lecz metody walki od wielu wieków nie tracą na barbarzyńskim okrucieństwie, na bezwzględności i cynizmie. Pan bardzo nieostrożnie zamienił doskonalsze narzędzia mordu... z humanitarnością

metod*). Lecz pomimo tego znacznej wagi myślowego błędu, — od kogo właściwie żąda Pan zmiany metod? Czy to nie kapitalizm we wszystkich krajach jest stroną atakującą? Czyż nie dąży bez skrępów do coraz bardziej precezyjnego ujarznienia pracy? Czy dewiza kapitalizmu i jedyną jego nadzieją nie jest to właśnie, że planowy i precyzyjny, nowoczesny i naukowo zorganizowany ucisk wykluczy kiedyś wszelki bunt? I czy we wszystkich krajach nie jest dzisiaj cofanie się jedyną niestety... metodą proletariatu? Od kogo więc żąda Pan zmiany metod? Czy nie pomylił Pan adresu?

Pozostaje najblahsza chyba kwestja... Marxa i Wellsa, choć ja nie jestem tak zaślepiony Marxem, jak Slonimski Wellsem. Czynniki męzowi nauki zarzut z tego, że po uszy siedzi w książkach, znaczy mniej więcej tyle, co żądać od przyrodnika, aby precezyjnych pomiarów i eksperymentów dokonywał nie w nowoczesnym laboratorium, lecz w puszczy afrykańskiej. Zarzut ten jest tem głośniejszym i dotkliwszym, im więcej się o Marxa faktycznie lepiej znał życie społeczne z autopsji, niż Wells to podaje. Osobiście jestem nawet zdania, że mógłby to życie znać naocznie o wiele mniej, a jednak dostatecznie na podstawie statystyk, dzienników i studjów, aby swoją teorię stworzyć na szerokiej życiowych podstawach. Jedno jest dla mnie niezachwianie pewne: gdyby marxizm nie posiadał podstaw życiowych, tedyby nigdy i w żadnym wypadku nie był tak głęboko wtargnął w nasze życie współczesne. Fikcje i utopie nie mogą mieć łatwego wpływu na życie. A jeśli Wells wprost zadziwiająco niedorzecznie twierdzi, że dzieło Marxa jest przynajmniej w takim samym stopniu wynikiem jego trybu życia, co zaburzenia wątroby — to można by z taką słusznością powiedzieć n. p. o Wolterze, że jego bystra zjadliwość jest w równym stopniu co jego znana... choroba żołądkowa — wynikiem jego trybu życia... A przecież nie sądzę, aby równie znana zjadliwość Slonimskiego lub intelektualna tusza Wellsa były wynikiem ich trybu życiowego, mimo iż jako literaci są z pewnością mólami książkowymi, zaś na dyspepsję i wątrobę wcale nie cierpią...

Marx jako uczony nie musiał być prorokiem: w przewidywaniu najdalszych, lecz schematycznych konsekwencji swej doktryny mógł się mylić i faktycznie się omylił. Ale jego genialnej analizy kapitalistycznego społeczeństwa, tnącego ostrza jego dylektyki nikt dotychczas nie steepił. Tego nie osiągnie się epitetowaniem jego brody. Dziś jedno jest jasne. Socjalizm bynajmniej nie jest koniecznością, jest zaledwo możliwością dziejową i tem wierniej musimy o niego walczyć. Ludzkość stoi dziś na wielkim rozdrożu, przed przyszłością alternatywą: albo ekonomiczne równouprawnienie i swobodny duchowy rozwój wszystkich ku coraz doskonalszym formom życia — albo światowa menażeria, pozamykanie narodów w sztucznych państwowych klatkach, z których od czasu do czasu wypuszcza je na siebie sprzeczność imperialistycznych interesów. Albo przewdziwe odrodzenie ludzkości, albo utrwalenie kapitalizmu i jego moralnej gangreny na zasadzie „Państwa Niewolniczego“. — którego teorię zdążył już wyłożyć ekonomista angielski, monarchista i katolik Hilaire Belloc, słusznie dopatrując się w faszystym zapowiedzi takiego państwa udoskonalonej ekonomicznej niewoli mas. Dla mnie — a wierzę, że i dla Slonimskiego — alternatywa ta jest już dawno rozstrzygnięta.

*) Slonimski zdaje się nie wiedzieć, że postęp kultury, moralności i obyczajów wcale nie rozwija się równorzędnie z postępem technicznej cywilizacji: że narody i szczepy o prymitywnym trybie życia miały wyższą obyczajową kulturę, niż dzisiejsza Europa.

BORYS DAWID

PIEŚŃ O APTEKARZU

Aptekarzem jestem ubogim,
A apteka moja na rogu.
Wasze twarze są dziwnie szare,
Gdy stajecie przy naszym progu.
Cały dzień sprzedaję Wam leki
Dyżuruję dwie noce, co tydzień.
Słucham rozmów telefonicznych,
Po dwadzieścia groszy rozmowa.
Słucham waszych żalów i jęków,
Ale dla mnie to zwykłe słowa,
Ja nie będę nad nimi płakać,
Boby całą zalać aptekę.
Nie popłyną stare retorty,
Białe bańki z półek na ścianach
Z tajemniczym słowem łacińskim,
Nie popłyną w szybkim strumieniu
Łez wylanych ludzkich i czystych,
Bo osiadłyby na mieliznie
Złego śmiechu — sztyderczy błagi.

Wciąż naklejam zielone numery
Oplacone wydaję Wam kwity
Ostre igły wyrrywam z gardzieli
I rumieńców łagodzę wykultury.
Tętno serca przedłużam, lub skracam
Od rozkładu Wam członki ratuję.
Jako łues już znikam, a wracam.
Dbam o wszystko — o miłość i ruje.

Walerjana — Konwalia — Jodyna
Rtęć i Salol, Salicyl i Mięta,
Kofeina-Pantopon-Morfina.
Stara z tlenku niekiedy poduszka,
Porywana przez kogoś w pośpiechu
Znika w wąskich ulicach stolicy,
Szybko w gwarze rozplywa się miasta
W krzyku, w mowie, w wesolym uśmiechu,
W barytonie syren autobusów
W piskotliwym dudnieniu taksówek
W elektrycznych dzwoneczkach tramwajów...

I znikacie za rogiem, jak zmora,
Wszyscy. Chorzy i zdrowi i krewni,
Ludzie cierpię, choroby, obawy,
Z brudnych małych zakątków na strychach
Z wielkich komnat w stylowych pałacach.
Wszyscy. Wszyscy. Zrównani w boleści.
Czasem nawet i w niej niezrównani,
Bo lekarstwa kosztują tak drogo,
Bo na kwit mój zielony nie zawsze
Wam wystarczy półstarej monety.
Ktoś umiera. Krztusi się. Dławi.
Ktoś bandażuje rzywy i krzyczy,
Wbijając palce, jak orle szpony
W miękkie dłonie drogiej kobiety,
Targa pościel i patrzy tępo
Na skurczone i mokre twarze,
Ca we mgłę rozplywają się zwolna.

WIESŁAW PAJEWSKI

POEZJA

Znudziły się chliwiości, miłosne sonety,
poezja senna, mława, jak woń kokainy,
patos westchnień samotnych, ostatnich zaklikań
— wierszyki przez poetów pisane poetom.

Bądź poezjo, jak bębnow alarm rozniewiany,
bądź, jak żagiew czerwona, rozwiana do boju,
bądź tętniącym, nerwowym pulsem niepokoju
— do rewolty namiętym wezwaniem!

Będziemy wiersze pisać o pięknie fioleto
spuchłych, zduszonych gardel wiśliców-buntow-
ników,
o spaźmie słów, zmiażdżonych w ostatnim ich
krzyku,
— o poprutych kulami — o ostrzami bagne-
tów —

Niech się zachłsną buntem wszystkie dzwony
świata,
niech o krzywdach rozkrzyczą się wszyscy poeci,
niech drgnienie przebudzenia przez ziemię przeleci
ponad głowami państw niechaj narody zbrata!...

Słów brylanty, wydarte z gardzieli poetom
rzuci, poezjo, na deski przekupek na targach,
sprzedaj w bankach, na giełdach, w błocie ulic
zszargaj,
zmień na grosze, na świstki państwowych bile-
tów!...

Poezja — niech się stanie rynkowym towarem,
sprzedawany na kilo — na łuty — na
funty —

a wtedy — jak sztandar, rozwiany do buntu,
niech powieje łopotem ponad tłumów szarość!

A wówczas, gdy ostatnie zwycięstwo okrzyknie
Ona — żywa krew tłumy — poezja czerwieni,
ludzkość niech miłością krwawą rozplamieni!...

Poezjo?...
znikną.

A ja dalej sprzedaję lekarstwa,
Kolorowe mikstury w butelkach,
Maście z przykrym i ostrym zapachem
W porcelanie z stalową pokrywką,
Suche proszki w ogromnych opakach,
Skromny, szary, przeciętny aptekarz
Sługa leku, nadziei i życia.

STANISŁAW WYGODZKI

ELEKTRYCZNOŚĆ

Chwałę Bostonów głoście poeci
Bostonów dalekich i bliskich.
Amatorzy poezji czyste,
pamięć ją z gardła stuleci.

Do mnie powraca i w serce me wraść
czerwień 1000 wolt trzymająca na smyczy,
krew przelana w więzieniach miasta
której New-Yorki na Broadwayach nie liczą.

Białe Bostony jak bomby dosyta
wzerać się w niebo dniem kłęski.
W sztyderczem przewzisku świt w sierpniu ukryty
jest światem twoim, zwycięskim.

Radio-depeszem skrzydła odcięto jak ptakom
już nie mogą ulecieć w przestworza.
Pod twoją ręką Vanzetti i Sacco
padną rażeni prądem jak nożem.

Płyną gdzieś okręty przez dalekie morza
światło reflektora wśród nocy oślepi.
Iskra co uśmierca, roznieca pożar!
Czujcie? Wiek XX! Elektryczność! Ciepłej!

Piersi nam zapiera! Elektryczna fala,
którą w obiegu pędzili w dalekim Bostonie,
Łukiszki z Wronkami i Warszawę scala
z „Matfaldą” co w burzy na morzach w noc tonie.

I pomyśleć: w tej chwili gdy na białą depeszę
ładny czekają, wypatrują jej lotu,
na oczy, wilgotną chusteczką zawieszają
i padnie wśród obrotu ważne słowo: gotów!

I pomyśleć: kiedyś, a może już blisko
Wolność wystrzeli w krótkim pięciu blasku,
i ty będziesz ją witał new-yorkami iskier
w hańbie twoich oklasków.

RYBNE SNY

„rybne sny wpływały przez otwarte usta”
Brzękowski: „realność”.

W bieżącej poezji polskiej niektóre poematy
z ostatniej książki Brzękowskiego*) są wydarze-
niami. Zbiorowi: „Na katodzie”. jako całości,
można wiele zarzucić. Obok rzeczy doskonałych,
nawet rewelacyjnych, mieszczą się utwory chy-
bione, świadczy to o braku samokontroli artysty-
cznej, może też jednak być argumentem, prze-
mawiającym za chłonnością poetycką, młodą
wrażliwością, niezdolną jeszcze na selekcję. „Na
katodzie” jest jedynym, obok „Raz” Peipera, o-
żywczem zjawiskiem w produkcji poetyckiej
ostatnich dwu lat.

Książka Brzękowskiego nie jest jednolita
formalnie. Po samym układzie utworów można
wnioskować, że poezje te powstały erupcyjnie.

*) Jan Brzękowski: Na katodzie L'esprit nou-
veau, Paris 1929.

JAN CZECHOWICZ

DZISIAJ

gwiazda morza czy też jest napewno
jeśli jest to w głębokości niebios
przeobraża się ziemskie niejedno
krzyk bólu w szczebiot
krzyk
czy też umiesz krzyczeć
zawodowy mruku zaciskacza zębów i na brzuchu
paska

inny za ciebie liczył
to też odliczył co łaska

drzemiesz
więc oto misy pełne a dzbany puste
izba ciepła i czysta

w marzeniu
przez tę izbę zostajesz bogaczem bratem
proletariusz skrytobokomunista

we śnie
kruszy się cegła po cegle pałace książąt kościoła
sen tylko
wyzwala z niewoli modlitwy służby flagi
ALE NA JAWIE
jak tu do ciebie zawołać
WSTAŃ NAGI

ale na jawie
restauracje bary od dźwięku noży się trzęsą
widelce szczęki drapieżne rwą kęs za kęsem
potrawy krwawym kurczą się oparem
tłuszczy chudych się karmią mięsem

w takt idealów brząka zbożnie złoto
tu się żywcem pożera niedzarzy z żoliborza
tu gryzą twoje twoje kości

a ty
we śnie tylko nie oblewasz się potem
nad snem twym może czuwa gwiazda morza
bracie bez gniewu i bez miłości.

w krótkim przeciągu czasu, jako konieczny wy-
raz dokonywującej się w autorze przemiany.
Stąd w sąsiedztwie utworów o typie niezdedyco-
wanym, pysznia się poematy arcydzielnie. Autor
hołduje najnowszej poetyce, a równocześnie nie
potrafi się otrzasać z dawnych nawyków wer-
syfikacyjnych. Jaskrawym tego przykładem
może być uporczywy zwrotkowy budowa wier-
szy o metryce jednostajnej, stosowana do o-
brazowania wyrafinowanego nowoczesnego. Psuje
to jednolitość wrażenia, a także przez swój sche-
matyzm szkodzi samej obrazowości. Ale i w
tego rodzaju wierszach („piersi anity”, „ogród
sentymentów”, „kalif bocian”) spotykamy za-
chwycająco poetyckie zdania. Całą niedoskona-
łość tych wierszy okupuje jedno choćby tak
świetne powiedzenie jak:

„laskotał powietrze gąszcz pach gorący

(„piersi anity”)

ciąg dalszy str. 4.

PAROWÓZ

Dzień ma się ku końcowi. Nad wielkim po-
łem zachodzi okrągłe słońce. Gęsto rosnące
wśród zielonych chwastów wrzosa mienia się
fioletem kwiatów. Słońce znaczy czerwona strugę
promieni. Biała brzoza chwieje bezseleśnie dro-
bnymi gałąskami na łagodnym wietrze. Jesień
ciepła, spokojna i cicha rozsłania drobne nitki
„babiego lata”. Od gęstych zagajników płynie
mocne wonie żywicy i sosnowego igliwa. Wpada-
ją przez otwarte drzwi do małej sali stacyjnego
budynku. Widać stamtąd brunatne podkłady
szyn, leżące na żółtym piasku. Na bocznym torze
szepce coś cichym głosem uchodzącej pary go-
rąca i czarna maszyna. Odkryte platformy pię-
trzą się okrągłymi pniami zrąbanych drzew.
Świeża jeszcze żywica zasycha na pokaleczonych
sąkach. Linia wagonów ciągnie się prosto i dłu-
go. Dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście.
Na trzydziestej siódmej platformie wisi mała,
czerwona latarka. Wilgotne tloki, wielkie ramio-
na, stalowe obracające koła parowozu błyszczą
się od tłuszczów. Kapiący smar z wodą utworzył
małe, niebieskie kałuże po obu stronach toru.
Palacz grzebie długim prętem w palenisku. Cała
chmura drobnych, złotych iskerek wylatuje z
popielnika. W nadchodzącym mroku błyszczą,
jak świętojańskie robaczki. Słońce biegnie co-
raz niżej. Cień siedzącego na stopniach parowo-
zu maszynisty sięga już rosnących za rowem
krzaków.

Zaczek śledzi własną sylwetkę. Najpierw by-
ła szeroka i krótka. Teraz długa jest i cienka,
jak patyk. W obrebie stacyjnych torów błysło
dwoje oczu semaforów. Jedno jest zielone, dru-
gie czerwone. Zaczek sięga ręką do tyłu i z po-
śród czarnych złomów węgla wyciąga białe za-
winiątko. Nóż skrzypi na chlebie. Zapach chleba
miesza się z zapachem sera. Z okienka wygląda
zasmolona twarz palacza. Gryzie gruby plaster
boczkę i rozgląda się dokoła. Prowadzenie towa-
rów jest długą podróżą. Czeka się przez całe
dnie na podrzędnych stacjach na zwolnienie to-
ru. Jazda trwa czasem tydzień, czasem dwa. Za-
czek polubił ten tryb życia. To nie żaden „po-
pieszny”, skaczący na zwrotnicach i gwizdzący
pedem wiatru na małych przystankach. Towa-
rówka jest ciężka, mocna i nieruchoma. Odpo-
wiedni do tego parowóz. Wielki, długi i silny.
Z szeroka platformą na przedzie, z niskim komi-
nem, z dwoma koplakami do przegrzanej pary.
Tender wysoki i ładowy. Upchany paliwem.
Na tyle — zbiornik z wodą. W nocy na piersiach
parowozu błyskają, jak trzy gwiazdy — trzy
reflektory. Krają mrok na równe odcinki, jak

Linia światła jest coraz bliższa horyzontu.
Różowe obłoki błędną powoli. Zachodzące słońce
wygląda, jak połówka wielkiej, dojrzałej
pomarańczy. Żwir peronu skrzypi pod czyjmiś
stopami. Zawiadowca stacji przechodzi przez ko-
lejowy plac. Spogląda na prawo, spogląda na
lewo. Sprawdzając się ustawiono światła na zwrot-
niach. Za pół godziny przejeżdża express wie-
deński.

Wzdłuż toru suną dwie białe latarki. Dru-
żyna konduktorska patroluje towarówkę. Zawi-
adowca drapie się w głowę Ziewa głośno. Zagadu-
je maszynistę. Coś o pogodzie, coś o nudach. Nu-
dno, tak. Mała stacja, samotna wśród wielkiej
płazszczyzny. Zakurzona droga, wyłobiona dwo-
ma kolejniami, znika w zielonych gąszczu zagaj-
nika. Do miasta — cztery kilometry. Zaczek mru-
czy coś pod nosem i przeżuwa razowiec. Palacz
znowu skrobie we wnętrzu maszyny. Ciemność
już zapadła i białe punkty gwiazd coraz gęściej
występują na czarnym niebie.

Z mroku wypada zadyszana postać. — Co
tam? — Dróżnik nie może złapać oddechu. — Pa-
nie naczelniku, panie na... — Co? — Szyny roz-
kreślił, psawiary! — wyrzuca jednym tchem. —
Kto? — Nie wiem. — Cholera! — Kilometr za
przejazdem... — Prędejszy! — Biegnę do dreżyny
Dreżyna w ciemności nie chce wejść w szynę.
Zawiadowca klnie i poci się ze zmęczenia. Wła-
dowił wreszcie, aż stal głucho brzęka.

— Latarka! Jazda! — Raz, dwa, raz, dwa.
Ręce się kurczą i wyciągają. Raz, dwa, raz, dwa.
Zadudniły koła. Przemknęły wzdłuż parkanu, mi-
nęli semafor. Ciemność goni bokiem a wiatr na-
pędza świeżego oddechu w płuca. Chwieje się
płomień latarni. Drzące cienie skaczą na ucieka-
jących szynach. — To już tutaj. — Dobrze. —
Zatrzymali. Latarka przy ziemi. Zawiadowca za-
troskał się. Nie tu się nie poradzi. Szyna oder-
wana na całej długości. Trzeba dzwonić do Rzy-
szew. Pan tu zostanie. Jak nie zdąży, trzeba bę-
dzie pociąg zatrzymać. Do diabła z taką robotą.
Zatrzymać wiedeński express... — Wsiadł i gna
już z powrotem. Zajeżdżał przed budynek. Zosta-
wił wózek na torze i pobiegł do aparatu. Kręci
korba. — Halo! Tu Ziębice! Halo! — Halo! Tu
Ziębice, tu... — Nikt się nie odzywa. Żle. Rzy-
szew milczy. Trzeba spróbować w drugą stronę,
na Bądryń. Znowu się powtarza to samo. — Ha-
lo! Tu Ziębice! Halo! — Bądryń milczy. Sabotaż.
Biegnie do aparatu telegraficznego. Nie działa.
Zawiadowca klnie i rozbija krzesła. Linia prze-
ważna. Trzeba będzie zatrzymać pociąg. Skandal!
Awantura! Nagana!

Kasjer wzrokiem wyraża swoją troskę, z na-
tury jest mało mówny. Zawiadowca biegnie na
peron. Przeskakuje podkłady. Zadyszany za-

trzymuje się przed wielkim parowozem. Zaczek
właśnie skończył jeść i wyciera ręce o spodnie.
Zawiadowca tłumaczy urywanym głosem. Zaczek
ledwie słucha. Wdrapał się po stopniach i patrzy
na manometr. — Dobrze — mówi. Sturchea pa-
lacza. — Prędejszy, Władek. Dosyp węgla. — Pa-
lacz ociąga się leniwie. Już odczepia jeden z kon-
duktorów brzęczące łańcuchy. Do Ryszewu, na
spotkanie „wiedeńskiego”. Trzeba się spieszyć.
Hamulce. Odsunąć hebel. Jazda! Dwa pióropusze
pary strzeliły koło tłoków. Na zwrotnicy dróżnik
macha ręką. — Dwadzieścia minut! — krzyczy.
Nie nie szkodzi, za dziesięć minut będą na miej-
scu. Koła zatrzaskowały na skrzyżowaniach szyn.
Skrzypnęły drzewce. Żar paleniska padł na
dewniany trzonek leżącej łopaty. Miał węglowy
sypieć się po pomoście. Coś trzaska w głębi lu-
czącego pieca. Zaczek stoi przy okienku. Widzi,
jak długi prostokąt światła goni przed parowo-
zem. W tej jasności szyny niczem srebrne szta-
by biegną z czarnej dali i wpadają pod koła. Z
boku muszą pędzić słupy telegrafu, ale ich nie
widać. Maszynista przypomniał sobie, że linia
jest przerwana. Dudni, dzwoni, brzęczy dźwię-
kiem rozlicznych spojów wielka, spoczęna od go-
rąca maszyna. Już iskry trysnęły gęstym sno-
pem ognia. Rozwiał się, fruwał w mroku, ga-
sna. Zaczek słucha. Parowóz ma swoją mowę,
niepodobną do ludzkiej. Ciężka, głośna i prędką
— mowę stali. Manometr, jak serce. Splot zawi-
klanych rurek — jak żyły, arterje. Dudni gło-
śno płuca parowozu. Zaczek słucha. Już wyczuł.
Parowóz zwalnia biegu. — Władek. Co tam? —
Palacz drgnął. Odwraca się od pieca. — Rączka
się odkręciła, — mówi niepewnym głosem. — Bo
to zawsze, jak się za prędko jedzie... Szukaj,
szukaj przedzie! — Palacz schyla się. W migotli-
wym świetle lampki widzi maszynistę, jak z za-
tłuszczonej kieszeni kurtki wysuwa się błyszczą-
cy mosiądz śruby. Brzękło na blasze pomostu.
Palacz wyprostował się. Zaczek nakłada zakrętkę.
Parowóz stanął w ciemności i dyszy głośno
sprężoną parą. — Nie pojedzie... — Co? — Nie
pojedzie... — odzywa się martwym głosem pa-
lacz. — Zwarjowałeś. — A nie pojedzie. — W
głosie tkwi upór. Maszynista już się zorientował.
— Gdzie druga śruba? — Nie wiem. — Ach ty...
Chciałeś mnie nabrać. Poczekaj. — Złapał go za
kołnierza. Palacz szarpie się. — Co się z tym chło-
pem stało? — myśli Zaczek, przetrząsając kie-
szenie. Jest. Skoczył do pieca, wyciągnął klucz
francuski i zakręca. Palacz skurczył się w sobie,
zniecierpliwiony. Szuka czegoś po podłodze. Tam,
w kącie leży młotek. Skrada się cicho, wyciąga
rękę, już go ma. — Nie pojedzie dalej... —
Dlaczego? — ...a bo księżyc spadnie... — Dłace-
go? — pyta jeszcze raz Zaczek, nie mogąc zro-
zumieć odpowiedzi. — Bo księżyc spadnie... —

Jaki księżyc? — A ten, o... — pokazuje palcem
ciemności. Zaczek się spocił. Władek zwarjował.
To tak po ojcu. Ojca ma warjata. Zwarjował. —
Księżyc jest wielki... — ciągnie dalej palacz,
zblizając się z młotkiem w zaciśniętej pięści. —
Głupiś. Odejdź. — Parowóz rusza powoli z miej-
sca. — Nie pojedzie. — złości się Władek i tu-
pie nogą. Zamierza się młotkiem na maszynistę.
— A wiecie co na księżycu... — Ja wam pokażę.
— Maszynista złapał go za rękę. Trzonek młotka
zawirował w powietrzu i upadł z trzaskiem. Ma-
szyna nabrała rozpędu.

Gwizdze wiatr i zganian z komina wąską
chmurę dymu. Na skaczącym pomoście szamocze
się dwu ludzi. — Księżyc... księżyc... — charcze
Władek i ścisła za szyję maszynistę. Zaczek
czuje duszność w piersiach. Za chwilę zwali się i
z pomostu. Ostatkiem sił rozrywa dławicą ob-
ręcz palców. Znowu skoczyli do siebie. Zaciśnię-
ta pięść spada tuż przed twarzą maszynisty. Pod-
bija ją mocnym ruchem ręki. Runęli na błachę.
Posypał się węglowy kurz. Tarzają się w pył.
Zaczek ma podrapaną twarz i podarte ubranie.
Pot ścieka mu ze skroni. Palacz wyrwał się i
wbiegł na tender. Maszynista goni za nim... Po-
tyka się i biegnie. Kawał węgla wypadł z ciem-
ności. Ledwie zdołał się uchylić. Wzdrygnął się
na myśl o skutkach uderzenia.

Krzyk. Krótki, urwany nagle krzyk, zapano-
wał nad turkotem kół. Zaczek wdrapał się na
skraj tendra. Nie było nikogo. Nogi się ugłębiły
pod maszynistą. Pochylony naprzód starał się
dojrzeć cośkolwiek pośród pełnej nocy. O mały
nie stracił równowagi. Uniósł głowę ku górze.
Błyszczące ramię semaforu przemknęło nad nim
i pobiegło w dal. Rozbijając stopy na ostrych
bryłach węgla, zeszliżnął się na pomost. Trzysta
metrów przed parowozem pierwsze światła Rzy-
szewa. Opadły heble. Zgrzytnęły hamulce. Gwi-
dże wypuszczona para. Otoczony gęstym, bia-
łym obłokiem przejechał Zaczek zaplataną sieć
zwrotnic. Zeszliżnął się po stopniach i, nie zwa-
żając na ból nóg, wbiegł na peron. Na pierwszym
torze sapie długa lokomotywa. Wielkie, zielone
i niebieskie wagony „wiedeńskiego” pociągu
błyszczą światłem szerokich okien. Zaczek szuka
wzrokiem czerwonej czapki zawiadowcy. Bie-
gnie. Już już znalazł. Zawiadowca zatrzymał się
pod latarnią, rozmawia z jakimś urzędnikiem.
Maszynista dopadł go. Staje z boku, oddycha
ciężko. Spracowane płuca wznoszą się i opada-
ją, jak miechy. — Nawiazałyśmy łączność z Zię-
bicami — mówi urzędnik. Zaczek wyteża słuch.
— ...tor jest uszkodzony. Trzeba zatrzymać po-
pieszny... — Zawiadowca kiwa głową.

Wiesław Wernic.

Do wierszy niepotrzebnych w tym zbiorze należy zaliczyć utwór „walka policji z bandytami”, który miał zapewne na celu przez swoją reporterską popularyzację odrywać się od nadrealistycznego tła całości.

„Na katodzie” opływa świeża zmysłowość odczuwania, wyrażająca się jako niezwykle bujna łączność formy. Nie są to pierwiastki bezwzględnie nowe w poezji polskiej. Dążenie do czystej poezji cechuje całą nową poezję. Brzękowski jednakże wyróżnia się wyraziście od tego kierunku przekonywująco zmysłowym podkładem wyczuwalności poetyckiej, nad którym, wtórnie dopiero, buduje konstrukcje czystej formy. Obok oryginalnie pojętej konstrukcyjności wypowiadania się w książce Brzękowskiego inna jeszcze metoda poetycka. „Na katodzie” można uważać za pierwszy dokument surrealizmu w Polsce. Wprawdzie już Wazyk w tomie „Oczy i usta” czynił wypadki w kierunku asocjacji, były to jednak poszukiwania mniej zdecydowane, Brzękowski umieszcza cykl wierszy, oznaczonych cyframi od 1 — 4, które są ukłonem w stronę surrealizmu francuskiego. Z kierunku tego anarchicznego i alogicznego wydobyl jednak Brzękowski, łącząc go obrazowością konstrukcyjną, pewnie ciekawe nowości. Np. utwór 1. („opodal”), jakkolwiek wzorowany na Seuphorze jest doskonałą groteską, paradującą sentymentalizmem. W innych tego rodzaju wierszach o kompozycji świadomie zadaną spotykamy świetne poszczególnie powiedzenia:

w soczysty spokój barw wdarł się paw krzyczący przed lustrem.
które śpiewa spokój epopei
światło wietrzeje,
rozpylane przez latarnie maksym
i przykrywa noc mąją martwemi słowikami.

Wpływy surrealizmu znaczącej się w dziełach samego twórcy. Ideowo ciąży nad tem erotyzmu, interpretowany niekiedy freudystycznie. W tym względzie są poezje Brzękowskiego zjawiskiem niezwykle śmiałym i szczerem. Tyle już u nas gadało się o zmysłowości odczuwania, chrząc tam mianem naiwnie studentkie pohukiwania (Skamander). U Brzękowskiego przemawia po raz pierwszy naprawdę męska zmysłowość. Poematy takie jak „wenus”, „ciepło”, „prawa newtona”, a zwłaszcza arcydzieło „murzyn z załogi narcyza na pokładzie parisoir” — to manifesty prawdziwie bezpośredniego odczuwania poetyckiego, t. zn. takiego, które w formie poetyckiej znajduje adekwatny wyraz. Złazszcza „murzyn” i „niedojrzały uśmiech” są rewelacyjnymi objawami nowej poezji. Nie mogą sobie odmówić przyjemności zacytowania jednego z tych poematów:

ostracyzm snów pomalowanych na kolor czerwony, kolor wielkości,
i myśl zabiegła w słodka jak banan
ależ oczy są koloru nieba, nieba zbudowanego z ostrzyg
które przysrajają, słońce wielkie kurze jajo przemian

nie można być łakomym, ten półmisek radości świadczy może o fizycznym zdrowiu — ale to nie to — bowiem
należy wiosnę przez pośpiech w ustach uprosić i maj zielony jak uśmiech nalać w kieliszki purpurowe

Te dwa poematy wystarczają, ażeby niejednolity w całości tom Brzękowskiego uznać za wydarzenie w poezji polskiej.

Juljan Przybóś.

GŁOS LITERACKI nabywać można — na dworcach kolejowych w całej Polsce

— w kioskach ulicznych w Warszawie, Lwowie, Krakowie i Łodzi

— w większych księgarniach w Warszawie, Łodzi, Lwowie, Krakowie, Zakopanem, Lublinie, Piotrkowie, Stryju i innych miejscowościach

— zagranicą — w Paryżu: Księgarnia Gebethnera i Wolffa, 125, bld St. Germain, w Londynie W. R. Kossuth, 15 Barn Rise Wembley Park, Middx.

PANOPTICUM BURZA, KTÓRA TWORZY

(W krakowskim „Głosie Narodu” z dn. 9.V b. r. w Nr. 122 — ogłoszono wywiad z Tadeuszem Peiperem, który, omawiając stosunki literackie w kraju, wypowiada się m. in. o organie Skamandrytów. Opinię w tym względzie podajemy poniżej in extenso. — Red.).

— Wpływowy anonim, jakim jest redaktor „Wiadomości Literackich”, godzien jest kilku słów. Zapytano mnie raz, kogo z pośród Skamandrytów uważam za największy talent poetycki. Odpowiedziałem, że p. Grydzewskiego. Spojrzało na mnie ze zdumieniem. Jakto? Przecież Grydzewski nie pisuje wierszy? Odpowiedziałem, że właśnie dlatego. Uważam Grydzewskiego za największy w jego grupie talent poetycki, bo sam wierszydef skamandryckich nie pisze, a poeci Skamandra jemu wszystkie zawdzięczają. Tak, proszę Pana. Jestem przekonany, że gdyby nie fałszy „Wiadomości Literackich”, niktby się dziś w Polsce Skamandrem nie zajmował. W prospekcie, jaki p. Grydzewski rozesał prasie polskiej przed wydaniem pierwszego numeru swego tygodnika, wyznano szczerze, że nowe pismo jest organem poetów Skamandra. Potem usiłowano tę prawdę maskować i starano się o pozory pisma ogólnie literackiego. Lecz często natura organu Skamandra przebiegała poprzez wszystkie blagi. Przed kilku laty w momencie jakichś szczególnych kłopotów pieniężnych przesłałem z Krakowa Irzykowskiemu artykuł z prośbą o zamieszczenie w którymkolwiek z pism warszawskich. Przybywszy do Warszawy, dowiedziałem się, że Irzykowski oddał mój artykuł „Wiadomościom”. Stało się to bez mojej wiedzy i bez mojej woli, ale stało się. Jednakże artykuł nie ukazał się. Byłem zmuszony zająć do redakcji. Pan redaktor pokazał mi „szczotkową” odbitkę mego artykułu i... prosił, abym wystosował list do p. Iwaszkiewicza z wyjaśnieniem, że pewien przykry dlań artykuł pisałem w chwili podniecenia. Oczywiście odmówiłem. Ale to uzależnienie opublikowania mego artykułu od ułożenia mego stosunku do pisarza skamandryckiego, dowiodło rewelacyjnie, że „Wiadomości” nie są pismem ogólnie-literackim, lecz pismem ściśle grupowym, istniejącym dla ratowania interesów kilku poetów, o których napewno przyszłość inne mieć będzie zdanie, niż anonimowy ciągle pan, zwany panem Grydzewskim.

KORESPONDENCJA

— J. Nar. — Łazy. Przeczytaliśmy. Praca Pana posiada dużo rozmachu i wiele wnikliwości. Niestety — najmniej uwagi zwraca Pan na formę. To samo z kompozycją. Radziłabym Panu szczerze zwrócić się o wskazówki do któregoś z poważniejszych prozatorów. Talent — jak powiada Ozenfant — to usilna, ciężka praca nad sobą. Rekopis do dyspozycji.

— L. Lew. — Warszawa. Jak można? „Bagnetem rozprute trupy, porwane szrapnelem kałduby; przegnięte bandaż i strupy (!), paraliż, co zmroził przeguby”. Poezja to chyba nie jest.

— W. R. Ziel. — Warszawa. Wzruszyliśmy się serdecznym listem. Jakże żałujemy, że nie „Zebrał” — Tyle innych miał Pan sposobów ujęcia tematu i wybrał Pan najgorszy. Przecież rada nasza, nie szła po linii, po której Pan poszedł. Bynajmniej. Radzimy Panu zaprzestać na jakiś czas pisanie wierszy, dużo czytać i uczyć się, uczyć zawzięcie — unieszkodliwić litość.

— Wit. — Łódź. W „Świtaniu” i „Kotle pracy” widać znaczny postęp. Do druku za słabe.

— Wtor. — Łódź. Poemat nie opracowany. „Mordy wspomnień”? Panie?! Panie?!

— B. D. S. — Warszawa. Wiersza „O sobie” nie otrzymaliśmy. Może nadejdzie. „Pieśń” o aptekarzu” drukujemy.

— T. St. — Piotrków. — Świetnie. Jaki zdolny jest ten Piotrków.

— E. W. — Lwów. Artykuł niesmaczny. Aluzji osobistych nie drukujemy.

— Mil. Elin. — Warszawa. Jakże przykro nam, że zainteresowanie literaturą ogranicza się u Pani do „wiadomości od znajomych”. Zaprośzenie do współpracy? Oczywiście — nie widzieliśmy żadnych przeszkód, żadnych powodów. Tylko dlaczego — dlaczego ten Pan nie nam o „zaproszeniu” tem nie wspominał? Może myślał o jakimś innym piśmie? Zbliżonem? które może wyjdzie?

Numer wysyłamy. Wiersz do dyspozycji.

Coraz mocniejsze więzy łączą nas z zachodem Europy. Biegniemy szybko do najwzruszającego szczytów kultury ogólnie — światowej. Przedkimsz staramy się odrobić zaległości z okresu niewoli. Dlatego też żadna wizyta cudzoziemca w Polsce nie jest pozbawiona znaczenia, a każde słowo płynące ze świata staje się nowym bodźcem do nowych wysiłków. Ostatnio Polski P. E. N. — Club gościł w Warszawie p. H. Waldena, pisarza znakomitego, jednego z czołowych przedstawicieli expressionizmu niemieckiego.

Herwarth Walden bawił u nas tylko jeden dzień, ale półgodzinna rozmowa z nim była w stanie oddziałać nam prawdziwie oblicze i jakiś potężny rozmach twórcy reprezentowanego przezeń kierunku. Herwarth Walden jest redaktorem miesięcznika „Der Sturm”, organu grupy artystyczno-literackiej o tej nazwie. Kierunkiem programowym grupy są: expressionizm i kubizm. Expressionizm w literaturze, kubizm — w malarstwie. Program ten pojęty został możliwie szeroko i stara się wkręcić do wszystkich dziedzin kulturalnego życia społeczeństwa. „Der Sturm” ma swoich przedstawicieli w trzech dziedzinach literatury, w poezji, prozie i dramacie. W malarstwie Oskar Kokoschka jest charakterystycznym jego przedstawicielem.

„Der Sturm” jest grupą międzynarodową, znajduje ona odpowiedniki swoje prawie we wszystkich krajach Europy, a doroczne wystawy malarstwa, urządzane w Berlinie skupiają prace malarzy kilkunastu narodowości. Kierunek reprezentowany przez „Der Sturm” we Francji nosi nazwę „nadrealistycznego”, w Polsce przedstawicielem jego w literaturze jest „Zwrotnica”, w malarstwie grupa „Blok”. Z programem tym można się nie zgadzać, można go zwalczać, ale trudno nie uznać ogromu pracy, jaką dokonano w ciągu 19 lat istnienia grupy. Dzisiaj „Der Sturm” jest moralną i materialną potęgą. Skupia dookoła siebie prawie setkę najwybitniejszych nazwisk świata literackiego Niemiec, 57 książek wydanych nakładem grupy są realnymi dowodami jej żywotności.

Czołowymi przedstawicielami omawianego kierunku, poza wyżej wspomnianymi, są: August Stramm, Kurt Heynicke, Franz Richard Behrens, Otto Nebel, Lothar Schreyer, Kurt Schwitters, oraz Ludwig Kossak. Samemu redaktorowi „Der Sturm” trzeba zaliczyć do niewielkiej liczby wszechstronnie utalentowanych osób. Herwarth Walden jest teoretykiem malarstwa, poetą, dramaturgiem i prozatorem wysokiej miary. Pierwsze jego książki: „Einblick in Kunst”, oraz „Die neue Malerei” stały się fundamentem programowym nowego kierunku. Jako powieściopisarz dał się poznać przez wydanie „Księgi miłości człowieka” (Das Buch der Menschenliebe).

„Der Sturm” jest grupą społecznie radykalną, nie należy jej jednak mieszać z kierunkiem grupy „Ahra” (złożonej przeważnie z Rosjan), będącej niemiecką ekspozycją sztuki i literatury sowieckich. Według ideologii „Sturmu”, forma utworu wynikać powinna z takiego lub innego nastawienia społecznego autora, treść gra tutaj rolę drugorzędą.

Trudno przewidzieć dzisiaj, jakimi drogami pójdzie jutro expressionizm niemiecki i czy zdoła osiągnąć te wartości, o które tak długo walczy, godnym podkreślenia jest jednak, że w ciągu dwudziestu lat egzystencji nie stracił nic ze swej żywotności ani rozmachu działania. Nie jest jedynym kierunkiem artystycznym Niemiec, ale jest jednym z najsilniejszych. Nie zachęca swych zwolenników do błyskotliwych tryumfów, ale zmusza do pracy cichej i wytrwałej, a to powinno być dla nas równie ważkie jak wszystko inne.

W. W.

POLSKI
KLUB
ARTYSTYCZNY
WIECZÓR

AUTORSKI
„KADRY”

Dnia 5 VI.29 r. godz 20

NOWE KSIĄŻKI

— Jakób Wasserman. „Sprawa Mauriziusa”. Groza śmierci. Powieść. Przeł. Marceli Tarnowski. Nakł. Inst. Wyd. „Renaissance”, 1929.

— Henryk Robert. „Imperatryca Katarzyna II”. Przełożył Witold Belza. Nakł. Inst. Wyd. „Renaissance”, 1929.

— Gustaw Af Geijerstam. „Tora”. Powieść. Przełożyła Marja Zabojecka. Nakł. Inst. Wyd. „Renaissance”, 1929.

— „Rex Beach. „Płynne złoto”. Powieść. Z ang. oryginału tłumaczył J. Taylor. Z rys. L. Jagodzińskiego. Nakł. M. Areta. Warszawa. 1929. Subtelny, a beztroski humor Rex Beach’a okraślił akcję powieści, stwarzając jak zawsze, pełne powikłań sytuacje, jakże zabawne, a prawdziwe.

— Biblioteka Narodowa. — Św. Augustyn. „Wyznania”. Przełożyła Krystyna Wisłocka-Romerowa. Opracował Jerzy Kowalski. Nakł. Krak. Sp. Wyd. Kraków, 1929.

— Biblioteka Narodowa. Jan Kasprowicz. „Wybór Poezji”. Opracował Stefan Kołaczowski. Nakł. Krak. Sp. Wyd. Kraków, 1929.

— Kazimierz Zawistowicz. „Sagi Estońskie”. Z 4 ilustracjami Janiny Rosen. Nakł. Krak. Sp. Wyd. Kraków, 1929.

— Wacław Lednicki. „Fragmenty z dziennika Lwa Tolstoja z lat 1900 — 1905”. Nakł. Krak. Sp. Wyd. Kraków 1929.

— Andrzej Zand. „Z dziejów dawnej Łodzi”. Nakł. Tow. Bibliofilów w Łodzi. 1929.

— Adam Mickiewicz. „L'Homme Eternel”. Nakł. Księg. Gebethnera i Wolfa”. Paryż 1929.

— Jean Paul Palewski. „Mickiewicz”. Aneks de la Pologne. Nakł. Księg. Gebethnera i Wolfa. Paryż, 1929.

— M. B. Lepecki. „Oceanem, rzeką, lądem”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Wielce ciekawe dane o metodach rządu Argentynskiego w stosunku do Polaków, o życiu ludności żydowskiej w Buenos Aires i t. d.

— Irena Zarzycka. „Ślubne pantofelki”. Zbiór nowel. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

— Paul Frank. „Czek na milion”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Ciekawe zagadnienie psychologiczne.

— Sygryda Undset. „Krystyna, córka Larwansa”. Cz. III. „Krzyż”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

— Bruno Jasiński. „Pałę Paryż”. Z przedmową J. Kadena-Bandrowskiego. (?) Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Powieść drukowana w języku francuskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim, tłumaczona obecnie na hiszpański oraz filmowana.

— J. Barbey D'Aureville. „Dawna Kochanka”. Tom I i II. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Wielkie, dwutomowe dzieło „marszałka literatury francuskiej”, spolszczone obecnie na polskie.

— James Oliver Curwood. „Tajemnica Johna Keitha” i „Steele z królewskiej konnej”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Obie powieści noszące na sobie wszystkie cechy pióra zmarłego niedawno pisarza.

— Andrzej Gide. „Falszerze”. Przekład Jarosława Iwaszkiewicza. Powieść. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

— Bronisław Kretowicz. „O czym szumi Dewajtis”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Powieść, przypominająca najsłabsze powieści wzory książek, jakie dawano nam w dzieciństwie.

— Gratia Deledda, laureatka nagrody Nobla z 1927 r. „Rozbitkowie w przystani”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

„Naufraghii in porto”, należą do celniejszych rzeczy włoskiej pisarki o światowej sławie. Powieść ta nie straciła z zalet oryginału w dobru tłumaczeniu Dr. Rostkowskiej.

— Prof. Kowalenko. „Bunt na Potiomkinie”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Z cyklu „Rosja na rubieży” żółtej histor. geogr. biblioteczki „Roju”.

— Julian Ginsbert. „Okrety — pułapki”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1929.

Z cyklu morskiego żółtej bibl. hist.-geogr. „Roju”.

DOM HANDLOWY **CENY PRZYSTĘPNE**

G. STOŁOWICKI

WARSZAWA, KRAK. PRZED. 67,
TELEFON 72-51

UBIORY GOTOWE, MANUFATURA,
OBUWIE, GALANTERIA,
KONFEKCJA DAMSKA I MĘSKA

NA ROZPŁATY TERMINOWE
BEZ ZALICZKI

BATERJE ANODOWE I ŻARZENIA

ENERGOS

Gwarantuje odbiór bez szmerów i trzasków

NIEZAWODNE W DZIAŁANIU

Ul. Elektralna 14 — Warszawa — Tel. 92-32.

HURTOWY SKŁAD SPIRYTUALIJ

POLECA WINA, KONIAKI, WÓDKI

ZYGMUNT JAROCKI I S^{KA}

WARSZAWA
Senatorska 11

PLANAT et CO COGNAC

Dom CO BELLARDI et CLA TORINO

WIKTOR WINAWER

(istnieje od roku 1858)

EUROPEJSKA

P	Kas ogniowatych	F
A	Pancerowych	A
R	Kantorowych	B
O	Gabinetowych	R
W	Skarbców (Safes)	Y
A	Pras do kopjowania	K
	Kuflów ogniowatych	A
	Szkatulek	

Ul. Leszno 104 — Warszawa — Tel. 159-28

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 1,50 zł, kwartalnie 4,50 zł, zagranicą kwartalnie 1 dolar.

OGŁOSZENIA: 1 mm. szerokości 1 szpalty (lam 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w teście 50 proc. drożej.

REDAKTOR I WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.

Druk „Stołeczna”, G. Kryzel. Warszawa, Wolska 16. Tel. 88-67.

Adres redakcji i administracji:

ul. Młynarska 43, II p.

Tel. 204-96. Konto czek. P. K. O. 16380.